Nr. 48. Lwów. — Niedziela dnia 28. Lutego. **Rok 1886.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie . 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie . 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Adres *Redakcji i Administracji:* Ulica Sykstuska l. 45.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują.

WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Sykstuska l. 45. W WIEDNIU *Prenumeratę:* Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia:* M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. Moritz Stern, Wollzeile 22 — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Moses, Seilerstädte 2.

OGŁOSZENIA przyjmują za opłatą **10** ct. od wiersza petitowego za pierwszy raz, a **5** ct. za każdy raz następny. NADESŁANE w cenie **30** ct. od wiersza.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: C. Miesopust. Leandra.
Jutro: Albina B.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 53 | Długość dn. g. 10 m. 42
Zachód „ g. 5 m. 35 | Przybyło „ 2 minuty

Z Izby handlowej.

Na środowem posiedzeniu lwowskiej Izby handlowej odegrało się *finale* tej walki, która od dnia rozesłania przez ministerjum kwestjonarza w sprawie uzdolnienia kandydatów do zawodu kupieckiego, toczyła się między dwoma obozami, prowadzona z jednej strony namiętnie, z drugiej poważnie i spokojnie.

Że obóz poważny odniósł zwycięstwo — zbytecznem dodawać. Ale owo *finale* opisać warto, raz dla tego, że w nim się powtórzyły te same tony, które w całej walce dominowały, a powtóre i dla tego także, że warto poznać, jak, wśród jakich warunków i okoliczności, odniosła zwycięstwo dobra sprawa.

Na stole obrad stał znany już nam wniosek p. Ruckera, aby cały elaborat odesłać napowrót do sekcji handlowej. Jednakże wnioskodawca i jego przyjaciele polityczni, widząc, że stanowią zastęp, wynoszący zaledwie 12 głosów, podczas gdy przeciwnicy są w liczbie 14, nie bardzo się kusili o ratowaniu tego wniosku, a za to dopatrzyli dla siebie deski ratunkowej we wniosku, który postawił p. Mikolasch. Znany ten przemysłowiec wyszedł z założenia, że skoro mamy wchodzić na drogę przeciwną tej, po której kroczyliśmy dotąd, a wiec na taką, którą do pewnego stopnia można byłoby nazwać „drogą reakcji,“ to należy wejść na nią śmiało i nie zadawalniać się półśrodkami, ale od razu wymagać od kandydata do zawodu kupieckiego studjów kompletnie fachowych, a więc ukończenie szkoły handlowej. Dla tego proponuje mówca, aby elaborat odesłać do osobnej komisji, złożonej z 15 członków z poleceniem, aby odpowiednio go przerobiła.

Niepodobna powiedzieć, aby wniosek p. Mikolascha był w założeniu zupełnie zły; był on jednak niezawodnie niepolitycznym i niepraktycznym. Niepolityczność jego wykazał p. Niemczynowski, podnosząc to, że „czego za wiele, tego za dużo,“ czyli jak Francuzi mówią, *que le mieux est l'ennemi du bien*, a stawiając zbyt wygórowane żądania, możemy się narazić na to, iż nie dostaniemy nawet tego, czego słusznie domagać się możemy. Dla skromnych minimalnych naszych żądań, tak prostych i jasnych, że bijących w oczy, nie możemy przecie pozyskać kolegów mojżeszowego wyznania; cóżby dopiero było, gdybyśmy chcieli postawić te warunki, których domaga się w swym wniosku p. Mikolasch? Niepraktyczność zaś tego wniosku podniósł p. Michalski, wykazując, że tyle już Izb i innych korporacyj odpowiedziało na kwestjonarjusz ministerjalny, a tylko lwowska Izba wykrztusić swej odpowiedzi nie może. Jeżeli więc rzecz, odesłana do komisji, pójdzie znowu w odwłokę, to z naszą odpowiedzią przyjdziemy chyba jak z musztardą po uczcie.

Tu nastąpiła scena, której p. Niemczynowski nie przewidział w swem przemówieniu. Obóz przeciwny, który się nie chciał na to zgodzić, aby od kandydatów kupieckich domagać się jakichkolwiek studjów, stanął z zapałem po stronie p. Mikolascha, widząc w jego wniosku cenny ten przymiot, iż zabagnia sprawę. P. Piepes uważał nawet, że byłoby niewłaściwem odrzucać myśl pochodzącą ze sfery przemysłowej. — „Sekcja przemysłowa — rzekł — jest bardzo pretensjonalna, a teraz zobojętniała; należy się jej pewna satysfakcja.“ — Przystąpiono do głosowania i za wnioskiem pana Mikolascha głosowała tylko mniejszość — izraelicka.

Po ogłoszeniu tego rezultatu głosowania powstaje p. Sokal i w imieniu swojem, jakoteż swych „politycznych“ przyjaciół oświadcza, że odtąd nie będą oni brali udziału w dalszych obradach Izby nad sprawą uzdolnienia kandydatów do zawodu kupieckiego, jednakże nie opuszczą sali, bo nie uważają, żeby to było z ich strony szlachetnem dążyć do celu przez zdekompletowanie Izby. Pozostaną w niej przeto, ale jako niemi świadkowie, nie biorąc wcale w dyskusji udziału, przysłuchiwać się będą światłym debatom swych przeciwników.

Oświadczenie to przyjęto do wiadomości z tem uczuciem szczerego ubolewania, jakie rodzi się zawsze w patrjotycznych sercach, gdy się widzi, że przeciwnik, skoro nie może po swojemu sprawy publicznej ułożyć, cofa się zupełnie od roboty publicznej i zawija się w nieprzenikliwy płaszcz polityki „złego humoru“. Nie ten dobry szermierz, który tylko wtedy walczy, gdy ma zapewnione zwycięstwo, ale ten, który wytrwa pod sztandarem, chociażby wiedział że przegrana będzie jego udziałem. Tylko ci ostatni wydają z siebie Leonidasów.

Ale oświadczenie p. Sokala dało pochop p. Baczewskiemu do wystąpienia z nową propozycją. Sądził on mianowicie, że zdoła pogodzić oba obozy, a przynajmniej cokolwiek sprowadzić do wspólnego mianownika przeciwstawne żądania chrześcian i izraelitów. Nie chciał wszakże nużyć Izby stawianiem poprawek do każdego ustępu kwestjonarjusza, więc proponował, aby szczegółową debatę na razie odroczyć, a on referentowi wyłoży cały swój plan. Stało się zadość jego żądaniu, zawieszono bowiem posiedzenie, a nastąpiła poufna konferencja p. Baczewskiego z p. referentem Schayerem. Po otwarciu ponownie posiedzenia oświadczył p. Schayer, że wszystkie zmiany proponowane przez p. Baczewskiego znane mu były poprzednio, nie zdołały jednak wcale skłonić go do zmiany referatu. Nie pozostaje więc p. Baczewskiemu nic innego, jak stawiać swe poprawki przy specjalnej debacie, a Izba osądzi o ich pożyteczności.

Przystąpiono tedy do debaty specjalnej i uchwalono, że kupcy handlujący 1) materjałami (materjaliści, handlarze farb, drogiści), 2) towarami korzennemi i kolonialnemi, 3) towarami mięszanemi, 4) towarami łokciowemi, 5) bielizną, 6) towarami galanteryjnemi i 7) towarami norymberskiemi — powinni posiadać wyższe wykształcenie, a kandydaci wstępujący do tej klasy kupców muszą wykazać się świadectwem z ukończenia co najmniej szkół średnich gimnazjalnych lub realnych albo też szkoły handlowej.

Kwestjonarz ministerjalny zaliczył do tej samej kategorji także tych, którzy handlują produktami surowemi. Owoż p. Baczewski postawił poprawkę, aby tych ostatnich przenieść do kramarzy. Izba przyjęła tę poprawkę, przezco handlarze surowych produktów zwolnieni są od posiadania wyższego wykształcenia, ale za to odjęta jest im możność trzymania personalu kupieckiego jak subjektów, kasjerów etc., jakoteż odjęta jest im władza wyzwalania uczni.

To dało p. Baczewskiemu pochop do wystąpienia w obronie kramarzy. Sądził bowiem, że zakaz trzymania personalu kupieckiego rozumieć w ten sposób należy, iż kramarzowi wolno tylko będzie samemu siedzieć za ladą i towar sprzedawać; a wyręczać się kim innym nie będzie miał prawa. Cóż tedy pocznie, gdy zachoruje?

Zrektyfikował tu jego zapatrywanie p. Walichiewicz. Podniósł on mianowicie, że będą trzy rodzaje gremiów: 1) gremium kupieckie; 2) gremium kramarskie i 3) gremium grajzlerskie. — Dzisiaj, gdy na polu handlowem panuje najzupełniejsza dowolność i każdy, nie stosownie do swego wykształcenia, swej znajomości fachowej lub swego kapitału, ani też stosownie do skali, na jakiej handel prowadzi, ale stosownie do tego, czy chce więcej czy mniej rządowi podatków opłacać, zapisuje się bądź do kupców, bądź do kramarzy; dzisiaj przeto różnica między kupcem a kramarzem jest właściwie żadna, bo wyraża się jedynie ilością opłacanego podatku, jakkolwiek temu, który go więcej opłaca nie daje żadnych prerogatyw. W przyszłości jednak, gdy będzie utworzone stałe gremium kupieckie, a obok niego drugie gremium kramarskie i wreszcie trzecie gremium grajzlerskie i gdy wszystkie te trzy gremia będą nawzajem siebie kontrolowały, a pod wpływem tej kontroli będą zmuszały swych członków do bacznego przestrzegania przepisów, tak, aby nikt nie śmiał ze szkodą kupującej publiczności i również z uszczerbkiem reputacji stanu kupieckiego wyzyskiwać handlu na swą wyłączną korzyść; wówczas też nie będzie się działa żadna krzywda kramarzowi. Nie wolno mu wprawdzie będzie trzymać personalu kupieckiego i wyzwalać kupieckich subjektów, ale będzie mógł trzymać personal kramarski i będzie mógł wyzwalać subjektów kramarskich; podobnie jak grajzler będzie mógł swojego parobka, w miarę jak się wyuczy sztuki grajzlerskiej i odbędzie przepisane lata praktyki, przedstawić do swego gremium i wyzwolić na grajzlerskiego subjekta.

Po mowie p. Walichiewicza, jasno wyłuszczającej przyszłą organizację handlu, zabrał głos p. Dymet, prezes sekcji handlowej, mąż sędziwy, poważany wysoce w całem mieście, a pamiętający jeszcze te czasy, kiedy to swoboda handlu nie doprowadziła naszych kupców do niemal ostatecznej ruiny. Zaczął on od tego, iż się zastrzegł przeciw wyrażeniu p. Mikolascha, że droga, na którą wchodzimy, jest drogą reakcji. Pora bowiem już przestać używania i nadużywania tych haseł „postęp“ — „reakcja“. Wolno było cieszyć się postępem, jak kosztowną zabawką, lat temu 30, 40, ale nie dzisiaj, gdyśmy już mieli sposobność przekonać się, że nader często odziewa się w szaty postępu najbrudniejszy egoizm, najcyniczniejsza dążność do wyzyskania społeczeństwa na swoję korzyść. Dawniej istniały gremja, ściśle ustawami odgraniczone, i działo się wszystkim dobrze. Mieliśmy w kraju, wprawdzie nieliczny, ale do ówczesnej ludności i zakresu ówczesnego handlu zupełnie odpowiedni, zastęp kupców majętnych, uczciwych, rzetelnych, ceniących honor swej firmy, przelewających ją z pradziada na prawnuka. I działo się wszystkim dobrze. Nastała manja postępu i jak choroba epidemiczna ogarnęła wszystkie umysły. Każdy pod magicznem hasłem „postępu“ porwał się burzyć to, co wieki stworzyły i co doświadczenie pokazało jako najlepsze, a natomiast budować świat nowy, oparty na jednej jedynej zasadzie, na wolności. Wolno odtąd było sprzedawać ziemię lub kupować, pisać weksle i zaciągać długi, handlować czem się komu żywnie podobało, być dzisiaj rękodzielnikiem, jutro kupcem, pojutrze rolnikiem; wszystkie drogi na oścież otwarto do jednego celu, a tym celem nie służba krajowi i spełnianie uczciwe pewnej funkcji w jego organizmie społecznym, lecz zrobienie majątku. Postęp wypisał na swym sztandarze jedne tylko ludziom przykazanie: „rób majątek, jakiemi chcesz sposobami, byleś go zrobił!“ I tak gospodarowaliśmy lat trzydzieści. A jakiż bilans tej gospodarki? Oto mamy zrujnowaną szlachtę, zubożały i zniszczony lud, w nędzy pogrążonych rękodzielników, i ostatkami, bo tylko łaską kredytową stojących kupców! Nie chcę nikomu szkodzić i do niczyjej kieszeni zaglądać, ale proszę was panowie, pokażcie mi choć jednego kupca, choć jeden dom kupiecki, jednę firmę w naszym kraju, którąby się mogła zmierzyć swą powagą, swą wysoką reputacją, swym kapitałem zakładowym i rozmiarem swoich obrotów handlowych z temi dawnemi domami, które tu u nas istniały, a były na tak granitowych zbudowane podstawach, że bez szwanku wychodziły ze wszystkich wojen, rewolucyj, przewrotów, najazdów nieprzyjacielskich etc. Od lat 37 nie widzieliśmy wroga w naszym kraju, a czy choć jedna firma jest u nas tak silna, aby bez obawy patrzała na najmniejsze przesilenie, nawet nie polityczne, tylko ekonomiczne, tylko giełdowe. Bo my właściwie firm dziś nie mamy, a jeno handle, które dziś są, a jutro może już nie będą. Któryż kupiec myśli dziś o tem, aby swoję firmę przekazać synowi, wnukowi, prawnukom i tak dalej aż do setnego pokolenia? Który z nią się zrasta, kocha ją, czci jej imię

tak jak swoje i za jej honor gotów życie poświęcić? Każdy przecie uważa ją tylko za przejściowy rodzaj zarobku, zanim zdoła tyle z niej wyssać, aby potem sprzedać ją innemu, a właściwie nie tyle ją, ile „miejsce“. Bo któryż może być pewnem, że mu jutro lub pojutrze nie usadowi się pod bokiem jaki kapitalista, który korzystając z swobody handlu, otworzy wobec niego szaloną konkurencją, sprzedawać będzie towar lichy ale tanio, anonsami zrobi sobie straszną reklamę, ściągnie do siebie całą klientelę i jego o kij żebraczy przyprawi, aby potem paść samemu ofiarą innego kapitalisty, który czy pieniędzy będzie miał więcej, czy więcej sprytu, czy większą umiejętność w tumanieniu publiczności. I tę to walkę w której nie idzie się o lepsze co do rzetelności i sumienności, ale w której wojuje się sprytem, przebiegłością, szachrajstwem, w której ludzie stają się podobni do dzikich zwierząt, nazywają postępem? O! jeżeli to ma być postęp, jeżeli droga, po której wszystkie stany w naszym kraju doszły do ruiny, jest drogą postępową, to ja wolę reakcje, bo wiem jak ona wyglądała, bo wiem, że wtedy i kupiec, i rękodzielnik, i szlachcic, i chłop był majętny, bo wiem, że wtedy istniał ład i porządek, że każdy miał byt zapewniony i wiedział, iż skoro nie zejdzie z drogi uczciwej, to mu nigdy chleba nie zabraknie, ani jemu, ani jego potomkom do setnego pokolenia.

Zresztą, moi panowie, zadaniem tych, którzy mają głos w organizowaniu społeczeństwa nie jest myśleć o tem, czy rzecz jakaś jest „postępowa“ czy „reakcyjna“, tylko o tem, czy przyniesie pożytek społeczeństwu. Bo nam nie o etykietę idzie, ale o przyszłość kraju, o uorganizowanie go na rozumnych podstawach odpowiadających naturze ludzkiej. Mamy na sobie dowód do czego doprowadziła swoboda w handlu i w rękodzielach. A wiemy z dziejów, albo jak ja z własnej nawet pamięci, jak się działo za czasów gdy istniały gremja i cechy i gdy nikomu nie wolno było wyrabiać jakichś towarów lub niemi handlować, jeżeli nie dokonał pewnych przypisów. Owoż dzisiaj, przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych, przy powiekszonej ludności, przy dzisiejszych ułatwieniach kredytowych, słowem przy tych wszystkich zasobach, których dawniej nie znano, dajcie nam na lat dziesięć te urządzenia społeczne, jakie mieli nasi ojcowie, a rozwinie się w naszym kraju z dzisiejszych nędzarzy taki stan kupiecki i rękodzielniczy, tak bogaty, tak poważny i poważany, o jakim, patrząc na to co jest dzisiaj, nawet wyobrażenia mieć nie można. Do tego panowie, jako stary i doświadczony kupiec, który nie z teorji ale z życia czerpał swą wiedzę, wzywam was abyście się nie przerażali hasłami, tu „postep“, a tam „reakcja“, lecz wytrwali na tej drodze, która jedynie może nas z ostatecznej wyratować ruiny.

Nie potrzebujemy dodawać, jak głębokie na na obecnych wywarła wrażenie mowa nestora naszych kupców i prezesa ogólnego gremjum kupieckiego. Pod jej wpływem uchwalono już bez dyskusji dwa ostatnie działy zawodu kupieckiego, to jest gremjum grajzlerskie złożone z 1) handlarzy towarów drobiazgowych, z 2) handlarzy wiktuałów, 3) przekupniów i 4) mączarzy. Od kandydatów do tego stanu ma się tylko wymagać świadectwa ze szkół ludowych, podobnie jak i od handlarzy towarów mięszanych, którzy już gremjum osobnego tworzyć nie będą, gdyż zakres ich działania nie będzie w miastach ale po wsiach.

Na tem się skończyło tak zajmujące ze wszech miar, i tak wysoce pouczające posiedzenie Izby handlowej, któremu z wielkim taktem i bezstronnością przewodniczył p. Simon.

Przy tej tak ważnej sprawie okazało się jednak, jak wielki pożytek odniosła Izba od wprowadzenia do niej żywiołów rękodzielniczych. W żywiołach tych, które dopiero od czasu reformy wprowadzono w jej skład, wpłynęła do Izby zdrowa tradycja i ta gorąca chęć służenia sprawie publicznej, weszły w silnym zastępie pierwiastki narodowe, dbające o dobro kraju i solidarnie walczące pod jego sztandarem. Dzięki tylko energicznej pomocy rękodzielników mogli zacni kupcy przeprowadzić w Izbie uchwałe tak potrzebną do uzdrowienia naszych handlowych stosunków. A tembardziej za zasługę policzyć to należy pp. rękodzielnikom, że przecie ich osobiście sprawa ta ani grzała ani ziębiła. Mają oni już swoje ustawę przemysłową, której pożyteczną działalność poczynają odczuwać. Jednakże solidarność narodowa kazała im podać dłoń pomocną upadającemu kupiectwu, a pięknem to było z ich strony, że dłoni tej nie cofnęli, lecz właśnie wytrwale z nią spieszyli dopóty, aż swego dokonali.

Słowem myśmy nasze zrobili. Teraz rzecz cała zależy od naszego Koła poselskiego w Wiedniu i od Rządu, aby Rada państwa zrobiła to dla kupców, za co jej są już wdzięczni rękodzielnicy. Gmach reform społecznych nie będzie bowiem kompletny, jeżeli nie zostaną zreformowane podstawy bytu stanu kupieckiego.

Sprawy polityczne.

Sprawy polskie. Czytelniczy przypominają sobie, że do Izby panów sejmu pruskiego wnieśli: Dernburg, Kleist-Retzów i tow. taki sam antipolski wniosek, jaki w Izbie deputowanych był postawiony przez Achenbacha w imieniu konserwatystów i narodowych liberałów. Ów wniosek Izba panów natychmiast odesłała do komisji, skąd on już wrócił do pełnej Izby i w tych dniach stanie na porządku rozpraw. Sprawozdawca komisji, hr. Stolberg-Wernigerode w referacie swym zupełnie się przechyla do wniosku, a natomiast szczupła garstka Polaków, zasiadających w Izbie panów: ks. Ferdynand Radziwiłł, Kościelski, hr. Kwilecki, br. Mełżyński, Słaski, hr. Skorzewski i Żółtowski postawili od siebie taki wniosek: „Izba Panów zechce uchwalić: ponieważ wniosek Dernburga i tow. dąży do wywołania niezgody i nieprzyjaźni między dwoma szczepami, zamieszkującymi wschodnie prowincje państwa, i ponieważ ten wniosek dąży do złamania obowiązku państwa, traktowania jednakowo wszystkich poddanych bez względu na religijne lub językowe różnice: przeto nad tym wnioskiem Dernburga i tow. przechodzi się do porządku dziennego“.

Nordd. Allg. Ztg. donosi, że Bismark otrzymał bardzo wiele petycyj z Zachodnich Prus o wydalenie polskich flisaków, którzy spławiają drzewo po Wiśle do Gdańska. Prośby te są tem motywowane, że ci flisacy, pochodzący przeważnie z Galicji, odbierają zarobek niemieckim flisakom. Byłoby to już doprawdy szczytem wszystkiego, co na nas teraz wymyślają w Prusach, gdybyśmy nawet nie mieli prawa transito przewieźć przez Prusy naszego drzewa. Ono i tak już za bezcen, bo za jakie 28 do 30 centów za stopę sześcienną sprzedaje się w Gdańsku, z czego właścicielowi, po odtrąceniu wszystkich kosztów, zostaje drobnostka; a cóżby dopiero zostawało, gdyby musiał na pruskiej granicy zmieniać flisaków! To już niezawodnie wkracza w austro-niemiecki traktat handlowy.

Sprawa wschodnia. W samą porę kończy sie pomyślnie zatarg serbsko-bułgarski, bo tylko do nocy z niedzieli na poniedziałek trwa zawieszenie broni. Wprawdzie, wedle postanowień aktu o zawieszeniu broni wojnę można rozpocząć nie inaczej, jak wypowiedziawszy ją z góry na dni dziesięć, ale już zaraz po 1 marca mogły się zacząć „wypadki godne ubolewania,“ starcia nieprzewidziane, niemniej jednak krwawe. Otóż, sądząc z wczorajszych telegramów, dziś lub jutro musi stanąć definitywny pokój między Bułgarją a Serbją. Wiara w to jest tak wielka, że nawet przezorny, a podejrzliwy ks. Aleksander odwołał rozkaz przerzucenia milicji rumelijskiej na granicę serbską. Właśnie dziś nadeszła wiadomość z Filipopola, że pułkom rumelijskim, które już przeszły przez Bałkany, kazano wrócić do domu.

Równocześnie i Grecja, zmuszona koniecznością, nakłada wędzidło na swe wojownicze zapędy. Nie postawa mocarstw zmusza ją do tego, lecz zwątpienie we własne siły, które sie okazały bardza małemi. Wojskowy dziennik *Akropolis* wysłał nad granice turecką, wzdłuż której stoi grecka armja, swego współpracownika, a teraz ogłasza jego sprawozdanie, z którego wynika, że armja turecka rozbije na głowę Greków w pierwszem spotkaniu. O ruchu zaczepnym ze strony greckiej mowy być nie może, bo na każdym pagórku, przy każdej wiosce Turcy wznieśli silne fortyfikacje. Przeciwnie, Grecy, żeby stanąć na tureckiej ziemi, potrzebują zbudować kilka mostów i w wielu miejscach rozszerzyć drogi, bo inaczej ani artylerja ani transporta nie przejdą. Materjałów na mosty nie ma, a oddziały pionierskie wcale nie istnieją w greckiem wojsku. Dalej, nabojów jest podobno bardzo mało, zapasy żywności wystarczą nie dłużej jak na tydzień, konie są wycieńczone, a między żołnierzami zakradła się niesubordynacja. Słowem, *Akropolis* utrzymuje, że z taką i w takich warunkach postawioną armją rozpoczynać wojnę byłoby szaleństwem. Więc też w opinji publicznej nastąpił podobno zwrot ku pokojowemu załatwieniu sporu z Turcją, a kozłem ofiarnym tego zwrotu bedzie naturalnie gabinet Delyannisa.

Agencja Havasa donosi, że na wniosek Włoch niebawem zbierze się konferencja ambasadorów w Konstantynopolu i z góry zaakceptowa-

---

10)

POJEDYNEK z BOGIEM

przez

Maurycego Jokaja.

(Dokończenie).

Otton był zachwycony tą propozycją.

Cecylja, wracając, w istocie rozpoczęła piosnkę. Wsparty o barjerę mostku, Otton słuchał śpiewu, który wraz z postacią Cecylji tonął w ciemności lasu, aż wreszcie zakończył się głośnym, dziecięco wesołym śmiechem.

Otton wiedział, co to znaczy. Cecylja była już przed domem.

Zamyślony powrócił w miejsce, gdzie pozostawił konia.

Wieśniak, który miał pilnować wierzchowca, usnął już dawno snem sprawiedliwych.

Nazajutrz Otton udał się znowu do leśnego dworku. To samo uczynił trzeciego dnia, wyszukując sobie każdym razem pewien pretekst.

Cecylja rzuciła się teraz do ulubionego zajęcia ślepców: do modelowania w wosku. Modelowała ona biust ojca. Przedziwną była moc jej wyobraźni rysującej ją jedynie dotykiem palców. Tak! Palce ślepych widzą.

Otton stał się teraz codziennym gościem w leśnym domku. A Cecylja jeszcze ciągle nie bała się n i c z e g o, a hrabia ciągle jeszcze nie bał się n i k o g o, prócz siebie.

Pewnego popołudnia wybrał się Otton znowu do leśniczówki. Jego robotnicy mogli sobie cukier warzyć w fabryce, jak chcieli, on chętnie oddałby wszystkie syropy tego świata za słodycz jednego tonu z ust Cecylji.

Hrabianka właśnie ukończyła mały biuścik z wosku.

— Czy widzisz pan? spytała nadchodzącego Ottona, pokazując mu swój pierwszy utwór. Jak sądzisz? Czy mi się udało.

— Wybornie! odpowiedział Otton.

I jak gdyby jego oczom dane było mówić, a ustom patrzeć, złożył na podanej mu rączce ognisty pocałunek.

Dziewcze krzykneło przerażone i opuściło woskową figurkę na ziemię.

Okrzyk dał się łatwo wytłumaczyć stłuczeniem biustu.

Kiedy wieczorem hr. Tiborcy powrócił, Cecylja powiedziała:

— Ojcze ja się boję być tak sama w domu.

Więc już się nauczyła bać!

Następnego dnia Otton przybył przed południem. Zaraz pierwsze spojrzenie rzucone na Cecylję wprawiło go w zakłopotanie.

Cecylja miała tego dnia tylko jeden, jedyny kólczyk.

Spostrzegłszy to, zapytał dziwnie rozdrażnionym głosem:

— Czy nie zgubiłaś kólczyka, hrabianko?

Ów jedyny, który miała w uchu składał się z czarnej perły obwiedzionej brylantami.

— Nie, brzmiała odpowiedź dziewczęcia. Jestto rodzinny talizman, który starannie przechowujemy. Każda kobieta z naszej rodziny nosi go na pamiątkę w pewnym oznaczonym dniu roku. Dziś właśnie ten dzień przypada.

Otton w kilka chwil później pożegnał hrabiankę i wrócił do domu.

Po południu zjawił się znowu. Tym razem zastał Cecylją w towarzystwie ojca.

— Panie hrabio, rzekł. Byłeś tak dobry, żeś odsłonił mi wszystkie twe tajemnice. Nie nadużyłem ich wcale. Teraz zaś mam do ciebie prośbę. Objaśnij mi jeszcze tajemnicę czarnej perły, tkwiącej, jako kólczyk w uchu hrabianki.

Oblicze hrabiego pokryło się ciemnym szkarłatem, oczy zionęły ogniem...

Na kilka chwil wziął w nim górę „szalejący demon“. Ale i teraz udało się Tiborcyemu zdławić go żelazną ręką, bo oto twarz ostatniego z Isaszeghych znowu zwykłą przybrała cerę.

— Dobrze, mój panie, przemówił po chwili. Dowiesz się i o tem. Mój praszczur dowodził w siedmioletniej wojnie oddziałem węgierskich wolontarjuszów. Wpadli oni do Schönhausen, gdzie ukryto królewskie skarby. Burgrabia nie chciał zdradzić ich schowku i wtedy to praszczur mój gwałtownie pochwyciwszy za kólczyk kasztelanki wyrwał go z ucha. Przerażona kobieta rzuciła się do stawu i w nim utonęła. Odtąd każdy z niewieścich członków rodu Isaszeghy, w rocznicę dnia tego musi nosić pamiątkowy kólczyk; niegdyś było to zuchwalstwem, teraz pokutą. Oto historja czarnej perły.

— Dziękuje ci hrabio, ozwał się Siebelmann. Pozwolisz jednak, że uzupełnię opowiadanie. Pendant do kólczyka hrabianki znajduje się w mojem posiadaniu. Młodą, nieszczęśliwą kasztelanką była moja prababka, córka starego Brandta, która utonęła w stawie Schönhauseńskim. Oto druga część relikwji.

wszy poprawki rosyjskie w układzie Porty z ks. Aleksandrem, przystąpi do wypracowania regulaminu dla przyszłego prawnego stanu między Bułgarją a Turcją. Zdaje się, że Serbja i Grecja mają nadzieje, że przy tej sposobności i dla nich także coś będzie zrobione.

Niemcy. — W brzmieniu przyjętem przez Radę Związkową projekt monopolu wódczanego wejdzie na stół parlamentu w poniedziałek. — Projekt do nowelli kościelnej przyjdzie z komisji pod obrady pełnej Izby panów sejmu dopiero po załatwieniu monopolu przez parlament. Ta okoliczność potwierdza domysły, że ową wrzekomą zgodę z Kościołem zainicjował Bismark jedynie dla tego, aby dla monopolu pozyskać katolickie stronnictwo.

Francja. Sądząc z głosów prasy paryskiej wzrasta oburzenie na ks. Napoleona za jego manifest, w którym lekceważąco mówi o dzisiejszej republice i, podnosząc swe lojalne postepowanie, rzuca cień na zachowanie się książąt Orleańskich. Poważne dzienniki proponują albo pominąć zupełnem milczeniem ten wybryk „intryganta“, albo jego właśnie jednego wyrzucić z Francji. Zaś dzienniki hałaśliwe, tromtadratyczne wołają o sąd nad ks. Napoleonem. Tymczasem biuro parlamentu, zapewne na życzenie gabinetu, ciągle odkłada postawienie wniosku o bannicji na porządku rozpraw. Podobno przyjdzie on na stół izby dopiero w przyszłym tygodniu. Widocznie tu idzie rządowi o wyczekanie aż się uspokoją namiętności.

W wojsku coraz silniej rozwija się agitacja przeciw ministrowi wojny Boulangerowi. Organ armji, wprawdzie nieoficjalny, *Avenir Militaire* tak o nim pisze: „W chwili, gdy jen. Boulanger obejmował urząd ministra wojny, powiedzieliśmy, że będzie on nie szefem armji, lecz raczej jej wrogiem, wrogiem całej zbrojnej siły francuskiej. I tak się stało. Rewolucjoniści oddali mu w ręce armją — wiedzieli dla czego! — ale się zawiodą, bo on znowu nie potrafi oddać armji rewolucjonistom. Po jego wystąpieniach w parlamencie przeciw oficerom, których nazwał próżniakami i gachami, nie ma już on żadnej powagi w wojsku. Jeśli republika cokolwiek dba o swą przyszłość, to powinna pomyśleć o innym ministrze wojny“.

Rozdrażnienie w armji panuje jeszcze z tego powodu, że cywilnemu namiestnikowi w Tonkinie, p. Bertowi dano władzę najwyższą nad znajdującym się tam korpusem.

Korespondencje.

Wiedeń 25. lutego.

(Praca więźniów. — Pomnożenie parku kolejowego. — Muzeum handlowe. — *Vaterland* o pruskiej polityce).

(*X*) Często się u nas zdarza, że ważne sprawy, których załatwienia kraj i dziennikarstwo nieraz energicznie się domaga; gdy pomyślnie załatwione zostaną, mijają, jak gdyby były mało znaczące. Aby nas z tego tytułu nie spotkał zarzut, uważamy za potrzebne osobno podnieść rozporządzenie ministra sprawiedliwości, zarządzające, aby praca więźniów w ten sposób została urządzoną, żeby lokalnemu i krajowemu przemysłowi nie robiła konkurencji. Rozporządzenie to rozstrzyga sprawę w zasadzie; w praktyce zaś zależeć to będzie od prezesów sądów, przy których są więzienia z warsztatami, żeby cel rozporządzenia osiągniętym został.

Interesowani powinni więc teraz zwracać się bezpośrednio do prezesów sądów i ułatwiać im zastosowanie się do rozporządzenia, mianowicie powinny przełożeństwa rękodzielnicze i Izby handlowo-przemysłowe rozwinąć w tej mierze silną akcję na prezesów miejscowych sądów. Zatem panowie rękodzielnicy lwowscy niechże się biorą do dzieła.

Na jutro gotuje się znowu opozycja do ataku przedłożenia rządowego względem pomnożenia parku kolei państwowych. Opozycja dla opozycji nic rządowi przyzwolić nie chce, lecz ciekawa rzecz, jakie znajdzie pozorne motywa, skoro potrzeba jest nagląca. Minister finansów oświadczył, że z kasowych zapasów wydatku tego pokryć nie może, i że potrzeba w tym celu zaciągnąć pożyczkę z funduszu pensyjnego, która pokrytą zostanie rocznemi spłatami. Sprawa ta ma dla nas bezpośrednią ważność, gdyż uzasadnione są narzekania, że na liniach państwowych w Galicji za mało jest wagonów i lokomotyw. Bez wydatków zaradzić temu nie można.

Skończyła się ankieta młynarska, w której brali nasi delegaci udział, a dzisiaj została zainaugurowana nowa ankieta względem praktycznego zreformowania muzeum orientalnego na muzeum handlowe dla spraw importu i eksportu; rzecz ważna, a uader zaniedbana.

Przewodniczył arcyksiążę Karol Ludwik, u którego też odbył się *lunch* (śniadanie) dla członków ankiety.

Biorą udział w tej sprawie jako delegaci Izb handlowych krakowskiej i lwowskiej, dr. Rappaport i dr. Mochnacki, z któremi arcyksiążę wiele mówił o Galicji.

Vaterland, który w sprawie wydaleń z Prus uczciwie wystąpił, ocenia dzisiaj równie uczciwie jak mądrze politykę pruską „wywłaszczenia Polaków“. Przytacza głosy niemieckiej katolickiej prasy, wykazuje brak uzasadnienia, brak potrzeby środków gwałtownych, niebywałych w chrześciańskim świecie, całą niekonstytucyjność, surowość i niewłaściwość postępowania rządu pruskiego. Powiada trafnie, że jeżeli powstania roku 1830 i 1863 (a wszakże nie przeciw Prusom były zwrócone) mają być teraz jeszcze motywem do eksterminacyj, to powinien ks. Bismark prześladować i wywłaszczać miasto Berlin i inne, które w roku 1848 rewolucyjnie wystąpiły. Projekta kanclerskie są kolosalnem marnotrawstwem publicznych pieniędzy. Cóż się stanie z wykupionemi pałacami, parkami, stajniami obszernemi, z lasami, których drobni, przyszli koloniści potrzebować nie mogą, a których przecież wprost zniszczyć nie można? A dla kolonistów trzeba domy i gospodarskie obejścia budować. Cóż się stanie z robotnikami wiejskiemi, Polakami, którzy żyją z pracy około większych szlacheckich majątków? Nad tem wszystkiem fanatycy walki rasowej nie zastanowili się wcale. A przyszli koloniści skazani są z góry na bankructwo, gdyż opierać z góry całe gospodarstwo na kredycie, wynoszącym całą wartość kolonji, to prosty nonsens...

Tak mało mamy przyjaciół i tak zatraca się w Europie pod gorszącym wpływem pogańskiej polityki kanclerza wszelkie uczucie sprawiedliwości, że godzi się uznać i podnieść każde uczciwe słowo, na które przecież jeszcze tu i owdzie ludzie się odważają.

Londyn 21. lutego.

(*W*) Trudno się łudzić. Socjalistyczna choroba w cichości dawno już nurtowała organizm robotnika angielskiego, dziś występuje wysypką, przy lekkiej gorączce, jak powiada *Daily News*, a kto wie, może już jutro zacznie się proces zapalny ze wszystkiemi okropnościami walki na dynamit. Nie ziściła się nadzieja, że rozruchy skończą się na pierwszym w stolicy zaburzeniu dnia 11. b. m. Od tego dnia agitacja socjalistyczna wzrastała ciągle, rozszerzyła się po całej wyspie, wzniecając zaburzenia w Birminghamie, Chesterze, Sheffieldzie, aż wreszcie dziś znowu wystąpiła w Londynie. Na meetyng w Hyde-parku przybyło dwadzieścia kilka tysięcy osób. Z cabów, przystrojonych w purpurowe chorągiewki, przewodnicy socjalistów wygłaszali podburzające mowy, zapowiadali z całą otwartością rychłe nadejście czasu, w którym krew poleje się rzeką i wzywali tych, którzyby z pomiędzy zgromadzonych byli przeciwni rewolucji, aby wystąpili z zarzutami. Z wielotysięcznego tłumu nikt się nie odezwał. Może z tchórzowstwa? Sądzę, że nie; Anglicy mają dużo odwagi, a zresztą tu nie tak, jak we Francji, za zdanie nie kamienują. Jakkolwiek bądź, w całem zgromadzeniu nie znalazł się człowiek, któryby chciał zaprotestować przeciw wzywaniu do rewolucji. Ośmieleni tem, hersztowie anarchistów zakomenderowali na sklepy i domy. Tłum sunął się z parku w ulice, a oddziały policjantów zastąpiły mu drogę. Zaczęła się utarczka, aresztowano wielu, nawet bardzo wielu, ale wówczas, gdy policja walczyła w jednem miejscu, część tłumu wypełniła boczne ulice i tu się zaczęło burzenie sklepów i kantorów. Tym razem robotnicy brali udział w rozruchach. Rozbestwiony i pijany tłum z drągami powyrywanemi z krat piwnicznych, rzucił się na Parliament-Street, krzycząc: „Na Westminsterskie abbactwo! hej-że na ten kojec kapłonów!“ — Ale tu znowu wystąpiła policja nie z laskami, jak zwykle lecz z pałaszami i kastetami, a gdy się walka zawiązała gorąca, na sukurs przybyli dragoni, w cwał przemknęli po ulicach i tłum się rozpierzchł, zostały tylko ślady krwi na bruku i pokaleczonych wielu. Tamte wnet zmyto, tych — odwieziono w karetkach do szpitalów — i wszystko wróciło do zwykłego porządku.

Ten drugi rozruch był o wiele straszniejszy od pierwszego zawziętością tłumu. Jakiż będzie trzeci?

Tymczasem rząd... przepraszam, rządu nie ma, jest tylko gabinet, a ten gabinet walczy sam z sobą o jakiś, o jakikolwiek program i żadnego wymyśleć, na żaden zgodzić się nie może. Radykalista Morley w kwestji irlandzkiej idzie ręka w ręke z Gladstonem contra radykaliście Chamberlain'owi, ale w sprawach samorządu hrabstw obaj ci radykaliści stoją obok siebie przeciw Gladstone'owi. Tak we wszystkich sprawach, ze wszystkimi członkami gabinetu.

Weźmy np. tę sprawę irlandzką, ona przecież jest racją bytu gabinetu. Onegdaj w Izbie lordów sześciu parów z Salisburym na czele przypuściło atak do gabinetu, żądając, żeby przecież choć raz powiedział coś stanowczego — co myśli robić? i czy myśli cokolwiek robić?

W tej Izbie zasiada tylko dwóch członków gabinetu, z których jeden nie miesza się do spraw wewnętrznych, kierując tylko zagranicznemi; to — lord Roseberry, a drugi — raczej nominalny minister, niż rzeczywisty, prezes rady gabinetowej, lord Granville i on to odpowiedział zimno i krótko, z widoczną niechęcią: „Gabinet rozpoczął już (już! — wołają lordowie — nareszcie!)... rozpoczął już przygotowania (aha! przygotowania! — wołają lordowie) do wniesienia billu, traktującego kwestję irlandzką we wszystkich jej gałęziach. Z tym billem gabinet prawdopodobnie wystąpi po sześciu tygodniach, w pierwszych dniach kwietnia.“

Z obojętnego tonu, w jakim ożywiony zwykle naczelnik ministerjalistów wygłosił swą krótką odpowiedź, poznano odrazu, że on sam należy do opozycji w samym gabinecie. — Równocześnie taki sam atak przypuścili torysi w Izbie gmin, a odpowiedzieli Harcourt i Chamberlain. Pierwszy zwymyślał poprzedni gabinet, zarzucając mu, że w ministerjalnych biurach zostawił taki chaos, iż się rozebrać w niczem nie można; a drugi, wogóle szczerszy i sumienniejszy, odpowiedział rozumniej: „żeby jakąś rzecz zrobić, trzeba ją wprzódy wystudjować. Studjujemy dopiero sprawę irlandzką, zbieramy informacje o stosunkach społecznych, ziemiańskich i autonomicznych. Co z tych badań wypadnie, nie wiemy.“

Nic zatem, zgoła nic nie wiadomo co czeka Irlandje. To samo w kwestji greckiej i we wszystkich innych. — Cóż to za osobliwy gabinet!

W kwestji greckiej oświadczyli wprawdzie Roseberry w Izbie lordów, a Gladstone w Izbie gmin, że bezwzględnie nie można dopuścić, żeby się Grecja porwała na Turcję, bo to wywołałoby ogólny i okropny pożar w Europie (*a terrible conflagration)*, ale słusznie podniesiono wczoraj w torysowskim Carlton-Clubie, iż trzeba wątpić, aby w chwili krytycznej gabinet znalazł w sobie dość energji, by się wyprzeć swego filhelenizmu.

Głosy prasy.

Kilka trafnych myśli wypowiada Jan Lam w *Gazecie Lwowskiej* o tak mocno zajmującej nasz ogół kwestji pomnika dla Mickiewicza.

„Mickiewicz dlatego zasłużył na nazwę poety przedewszystkiem narodowego, — pisze Lam — że umiał umilić i upiększyć dla serca i dla oka rzeczy bliskie, swojskie, powszednie, że za tło dla wzniosłych uczuć i postaci nie potrzebował brać ani Koloseum rzymskiego, ani śnieżnej białości iglic alpejskich, odbijających od włoskiego błękitu, ani słońca i róż Orjentu. Niemen i Wilija płynęły długo i były tylko zwykłemi rzekami; długo szumiały puszcze litewskie i były tylko wielkiemi gromadami drzew; długo kwitły kwiaty na łąkach i rosły grzyby w la-

---

To mówiąc dobył marokinowe etui, zawierające wewnątrz kólczyk: czarną perłę obwiedzioną brylancikami.

— A teraz panie hrabio — mówił Siebelmann dalej — skoro się znalazły obie cześci relikwji, to niechaj pozostaną także w przyszłości razem... Ponieważ jednak nie zwykłeś przyjmywać żadnych podarunków, więc proszę, abyś mnie oddał część znajdującą się u ciebie wraz z czarującą jej właścicielką.

Hrabia ujął Cecylję za rękę.

— Czy rozumiesz, co to znaczy? zapytał.

Dziewczę łkało, drżąc na całem ciele.

— Ach, więc tego się obawiałaś?

Siebelmann ukląkł przed „rusałką.“

— Cecyljo, prosił, p o p a t r z wreszcie także na mnie.

Drżąc, zbiegły jej paluszki ku twarzy młodzieńca.

— Widzę cię! szepnęła zarumieniona.

A potem zamknęła oczy i nie nużyło jej patrzenie na niego w tym wewnętrznym świecie, gdzie wszystko jaśnieje nawet bez słońca i bez księżyca.

A słońce właśnie zaszło; pogodny, złotem bramowany błękit jaśniał nieskalaną czystością.

Tyborcy Isaszeghy złożył ręce jak do modlitwy i wilgotnym od wzruszenia wzrokiem patrzył w niebo.

Wschodziła tam już gwiazda wieczorna, spozierając z błyszczącego horyzontu, jak gdyby oko niebios, jak zapowiedź nieskończonego miłosierdzia.

Pojedynek z Bogiem dobiegł do końca.

K O N I E C.

sach, a warzywa w ogrodach, i nikt na nie nie zwracał szczególnej uwagi; długo stały dwory szlacheckie i chowały w swoim cieniu urocze dziewoje, albo roiły się dzielnemi oryginalnemi postaciami, a było to wszystko rzeczą bardzo codzienną i zwykłą — aż przyszedł czarodziej, który w to wszystko wlał nowe jakieś życie, olśnił to nowemi barwami i nauczył nas podziwiać, zachwycać się i kochać tam, gdzie zaledwie poprzednio zatrzymywaliśmy wzrok obojętny. Czegoś podobnego dokazali jeszcze tylko Bohdan Zaleski i Malczewski, który pierwszy odkrył poezję stepu. Pol i inni szli już tylko drogami swoich poprzedników, a Krasiński i Słowacki najchętniej kroczyli gościńcami, modnemi od czasów Byrona, a tak uczęszczanemi, że jużby się na nich przydały rogatki dla utrudnienia komunikacji. Ten wysoce narodowy charakter genjuszu i dzieł Mickiewicza sprawia, że niechętnie widzimy, ażeby z postacią jego łączono jakąkolwiek obczyznę, choćiażby najklasyczniejszą. Nie ustroilibyśmy go w kontusz, ale chcielibyśmy też widzieć go bez laurowego wieńca i togi i bez częściowej nagości klasycznej."

Tymczasem modele wypracowane przez Rygiera i Gadomskiego nietylko odznaczają się ową nagością ale nadto wprowadzają rozmaite symbole, które zrozumie człowiek znający mitologię grecką, ale których nie odcyfruje nasz lud. Nie godzi się także Lam z napisem: „Jestem miljon!", bo Mickiewicz nigdy i nigdzie nie powiedział o sobie że jest miljonem. Wprawdzie Konrad mówi w Dziadach: „Nazywam się miljon, bo cierpię za miljony", jednakże Konrad nie wyraża wcale całego jestestwa poety, a tylko pewien przemijający i nieprawidłowy stan duszy, w jakim się wieszcz, gdy to tworzył, chwilowo znajdował. Cóżby powiedziano, gdyby ktoś na pomniku Goethego wypisał *„Ich bin der Geist, der stets verneint"*? Ten napis „Jestem miljon!" przekształciłby — zdaniem Lama — Mickiewicza w Słowackiego, który właśnie czuł się osobnym bogiem na swojem osobnem słońcu.

„Niestety! Przychodzi mi tu — pisze Lam — powtórzyć to co już raz powiedziałem na innem miejscu: w teorji wielbimy Mickiewicza, wielbimy piękno prawdziwe i pełne prostoty; w praktyce zaś poetycznej i artystycznej jesteśmy uczniami Słowackiego, który nie powinien był tworzyć szkoły. Dlatego to każdy projekt pomnika, nieprzeładowany symbolami i alegorjami, niezawierający żadnej krzyczącej nadzwyczajności, w oczach wielu krytyków jest zimnym i ubogim. Musi być wieniec, toga, pierś naga, i — sowa. Tak jest, koniecznie sowa! Chłopek z nad Dźwiny, z nad Noteci, albo z nad Irpienia, któremu to pokażemy, będzie potrzebował objaśnienia, że to nie jest ptak złej wróżby, ale ptak, który, według mitologji greckiej, wyobraża mądrość. Trochę bowiem czegoś greckiego wszedzie przypiąć musimy, zważywszy, że Byron tak kochał Grecję, a Słowacki tak chętnie wstępował w jego udeptane ślady. Na jednę tylko grecką rzecz zdobyć nam się trudno: na piękną grecką linję. Wszystko u nas strzępiaste, sterczące i rogate. U Greków postać, szamocąca się z śmiercią, miotająca się w konwulsjach bolu, więcej ma w sobie wdzięku i harmonji, niż u nas postać „apoteozowana".

Gazeta Narodowa przytacza z *Kurjera Codziennego* warszawskiego anegdote, że któraś kucharka zgodziła się do jakiś państwa w Warszawie na służbę i już umowę zawarła, kiedy w tem przyszło jej na myśl zapytać się, czy jest w domu telefon; a gdy się dowiedziała, że go nie ma, oświadczyła wręcz, że posady przyjąć nie może. Dla czego? — pytają ją — „A bo proszę państwa — odrzecze — mam narzeczonego, który jest lokajem w bardzo porządnym domu, gdzie jest telefon, to sobie w wolnym czasie zawsze rozmawialiśmy i takem sie do tego przyzwyczaiła, że do mieszkania bez telefonu się nie zgodzę".

Owóż z tej anegdoty, która jest doskonałą szykaną tych niepomiernych pretensyj, jakie jak na drożdżach rosną u naszej służby, wysnuwa *Gazeta Narodowa* zupełnie inny i całkiem nieprzewidziany wniosek. Dla niej ta kucharka jest ideałem postępowej osoby, oceniającej wartość nowoczesnych wynalazków.

„W Warszawie tedy i służące poznały się już na użyteczności telefonu — pisze *Gazeta* — we Lwowie natomiast nawet wielkie instytucje nie mają dotąd telefonów, jak np. kasa oszczędności, uniwersytet itd."

Chcielibyśmy też wiedzić z jakim lokajem miałaby według *Gazety Narodowej* rozmawiać... Kasa Oszczędności? W każdym razie była to niezręczna reklama dla telefonowego zakładu.

Autor „Listów krakowskich" w warszawskiem *Słowie* zastanawiając się nad sytuacją, w jakiej się znajduje obecnie wiedeńskie Koło Polskie, wypowiada następujące spostrzeżenie z powodu nieobecności p. Kazimierza Grocholskiego, który ze względów zdrowia bawi jeszcze ciągle w Abazyi.

„Ta nieobecność przewodniczącego Koła, — pisze on — jest jednym ze zbyt licznych obecnie faktów oddziaływających ujemnie na całe nasze położenie, która, nie mogę tego zakrywać, stopniowo mniej nieco staje się w różnych kierunkach zadawalniającem, a mogłoby się stać chorobliwem. Nie jedno grozi nam kalectwo, głównie z powodu coraz większego braku odpowiednich ludzi, a następnie dla tego, że nikt a przedewszystkiem rząd, nie umie, czy nie chce nadać tonu. Przyjdzie mi kiedyś obszerniej zastanowić się nad ujemnemi stronami naszego życia publicznego i możliwemi ich następstwami. Dziś ograniczę się na przestrodze, iż znowu zagraża jednej z doniosłych instytucji naszych, Radzie szkolnej, to niebezpieczeństwo, że zamiast coby się podniósł jej poziom, obniżyć się może na dłuższy czas bardzo stanowczo, a to raz przez zamierzone wystąpienie z niej pierwszorzędnej siły, w której kraj słusznie nie małe pokładał nadzieje a powtóre wskutek tego ustąpienia, przez wstrzymanie się od wstąpienia do niej, znakomitej również osobistości, która nie chciałaby i nie mogłaby się znaleźć w radzie szkolnej do pewnego stopnia odosobnioną."

MAŁY FELJETON.

BABUNIA.

(Z niemieckiego).

Była niedziela. Ranne słońce wpada,
Witając białe ściany alkierzyka;
Babka ma dzisiaj zajęcie nielada:
Zbudzona brzaskiem mała Weronika
Ledwo że śnieżne rzuciła posłanie,
Już niecierpliwi się o swe ubranie.

„Babuniu!" rzecze, „trzymam Cię za słowo.
Wiesz, co przyrzekłaś uczynić przy święcie:
Daj mi sukienkę, sukienkę różową,
U której takie ładne srebrne spięcie."
„Czekaj," odpowie babka, „niech wprzód wpiotę
Jaką wstążeczkę w twoje włosy złote!"

Z jakąż błogością starowiny ręka
W złocistych splotach swojej wnuczki tonie!
Wyprostowana jak struna panienka
Już nic nie mówi. W górę wzniósłszy skronie,
Siedzi, jak posąg, nie ruszając głowy:
Drżą bowiem dłonie babuni wiekowej.

Wtem z pobliskiego kościoła zabrzmiały
Powiewne, czyste, jasne dzwonu dźwięki;
Wzruszona echem nuty ich wspaniałej,
Składa staruszka dłonie do podzięki.
Niegdyś tej samej kościelnej pobudki
Odgłos w niej radość wzniecał albo smutki.

Dawno już przeszłe dzieje swe wspomina,
Jak w łzach tonęła na męża pogrzebie,
Jak tkliwe serce jedynego syna
Matkę tej małej zyskało dla siebie,
I to, jak pięknie brzmiały wtedy dzwony,
Gdy mąż ją samę nazwał mianem żony.

Myśli jej płyną w przeszłość jeszcze dalej:
Jak była piękna, swobodna, jak miła,
Kiedy ją jeszcze „Panienko!" wołali;
Jak niegdyś sama tutaj się bawiła;
I to, jak wówczas, kiedy była mała,
Babunia także włosy jej splatała.

Wtem Weronika oczy swe dziecięce
Wzniosła ku twarzy staruszki i rzekła:
„Babuniu, cóżto? W tej chwili na ręce
Z góry mi jakaś ciepła kropla ściekła."
A stara mruczy: „Ej, to nic, nic zgoła!...
Słuchaj, jak pięknie brzmią dzwony z kościoła!"

Emil Pohl.

Czas odnowić przedpłatę.

*Prenumerata na prowincji (z przesyłką pocztową) kosztuje miesięcznie **1** złr. Prenumerata we Lwowie za kartkami kosztuje **75** ct. miesięcznie, a z donoszeniem do domu **1** złr. miesięcznie.*

Osoby prenumerujące z donoszeniem do domu — winny składać swą prenumeratę w Administracji PRZEGLĄDU przy ul. Sykstuskiej l. 45; prenumerujące zaś za kartkami mogą składać swą prenumeratę bądź w trafice hotelu Angielskiego, jeżeli tam zamierzają PRZEGLĄD odbierać, bądź w drukarni Pillera i Sp. (Łyczakowska l. 3) jeżeli wolą do niej po niego posyłać.

KRONIKA.

Dar. Najj. Pan udzielił z swej prywatnej szkatuły gr. kat. komitetowi cerkiewnemu w Płotyczach, w powiecie tarnopolskim, na budowę cerkwi zapomogi w kwocie 100 zł., zaś gminie Zgłobień w powiecie rzeszowskim na budowę szkoły zapomogi w kwocie 100 zł.

Ojciec św. Leon XIII. nadał drowi Egidjuszowi Werenbergowi, obywatelowi w Hnilicach w uznaniu jego zasług, położonych dla Kościoła order św. Grzegorza.

J. K. W. książę Würtembegrski generał-komendant wojsk XI korpusu we Lwowie wyjechał na dłuższy urlop. Obecnie bawi ks. Würtembergski w Wiedniu i był onegdaj na audjencji u cesarza. Książę będzie na ślubie arcyksięcia Karola Stefana, poczem w pierwszych dniach marca uda się w podróż na Wschód, zwiedzi Konstantynopol, Smyrnę, Egipt, Palestynę i Syrję, a dnia 1. czerwca powróci do Lwowa. Towarzyszy księciu jego adjutant porucznik Fritsche.

Na ślubie arcyksięcia Karola Stefana będzie także książę Cumberland.

Emil Castelar, były prezydent byłej republiki hiszpańskiej, znakomity pisarz i naczelnik stronnictwa republikańskiego umiarkowanego, napisał dużą rozprawę o pruskiej akcji przeciw Polakom. Rozprawa ta wychodzi w dzienniku *El Globo*. W niej Castelar nazywa Niemców za ich uległość Bismarkowi „niewolniczą hordą".

W Tarnowie odbędzie się dnia 3 marca pod protektoratem księżnej Izabelli Sanguszkowej bal na korzyść „Czerwonego Krzyża". Przewodniczącym komitetu balowego jest starosta Ludwik książę Poniński, zaś obowiązki gospodyń przyjęły panie: hr Ludwina Bobrowska, Jadwiga Dietlowa, Antonina Horowa, Zofja Jordanowa, hr. Leontyna Kielmansegg, br. Katarzyna Komers, br. Marja Konopczyna, hr. Franciszka Montecuccoli, księżna Paulina Ponińska, księżniczka Helena Sanguszkówna, bar. Dezydera Skibeńska Otylia Stankowa, Marja Zarębina i Marja Zielińska. Bal zapowiada się bardzo świetnie.

Na wystawę nieustającą Zjednoczonego Tow. Przyj. Sztuk pięknych, nadesłane zostały z Krakowa następujące obrazy:

Andrioilego „Porwanie Diwy" (rysunek kredką). Millera „Otello". Koniuszki „W zadumie". Merwarta „Krajobraz zimowy". Stachiewicza „U wróżki". Ejsmunda „Żebrak". Brzozowskiego „Zima". Barącza „Popiersie mężczyzny" (terra cotta). Barącza „Sen" (terra cotta).

Panowie artyści zgłosili: Mirecki Kazimierz „Święty Kazimierz rozdający jałmużnę". Krzecz Józef „Przechwałki wojenne". Grocholski Stanisław „W kwiecie wieku".

W skutek propozycji tutejszej Reprezentacji, aby natychmiast zamknąć wystawę nieustającą we Lwowie, z powodu, że publiczność tak mało na nią uczęszcza, postanowiła Dyrekcja krakowska jeszcze czas jakiś utrzymywać wystawę nieustającą we Lwowie, ale obsyłać ją li tylko obrazami artystów krajowych.

Wobec nader małej ilości osób, zwiedzających wystawę obrazów, musiano już zawarty układ zerwać z artystami zagranicznemi z obawy, i to nie płonnej, że publiczność tutejsza nie pokryje kosztów transportu sprowadzić się mającego przesławnego obrazu Munkaczego (Chrystus przed Piłatem). Z tych samych smutnych bardzo względów pożegnać się trzeba z myślą sprowadzenia Projektów na pomnik Mickiewicza.

Ogród Hofmana przy hotelu George'a we Lwowie zostanie wkrótce rozparcelowany pod budowę kilku nowych kamienic.

Państwo Skalscy dają w niedzielę dn. 28 lutego wieczorek dramatyczno-muzyczny w Podwołoczyskach. W Tarnopolu odbędzie się wieczór dn. 3 marca w sali Towarzystwa muzycznego. Zaś dnia 13 i 14 marca dwa wieczorki w Stanisławowie.

O słynnym szachiście Steinitzu zawiera *Oesterreichische Schachzeitung* z r. 1873 kilka wybornych anegdot.

„Przed dziesięciu laty mieszkał w Wiedniu przy pewnej ubogiej rodzinie krawieckiej biedny student. Obok studjów technicznych, oddawał się młody ten człowiek z zamiłowaniem grze w szachy. Niestety, nie miał tyle pieniędzy, ażeby kupić szachownicę z figurami. Poradził sobie tedy w ten sposób, że na arkuszu papieru narysował 64 pól, a 32 różnokolorowych kartek zaopatrzył stosownemi napisami jak król, wieża, królowa i t. p. W ten sposób mógł przyszły mistrz, bo stał się nim później, ćwiczyć się w swej ulubionej grze. Pewnego dnia pojawiła się jakaś mizerna postać w wytartym surduciku w Café-Rebhuhn i śledziła z uwagą graczów siedzących przy stołach klubu szachistów. Był to ów student, Steinitz.

Prezes klubu szachistów, wówczas jeszcze bardzo nielicznego, zapytał go, czy umie grać.

— O, ja gram z zawiązanemi oczyma — brzmiała odpowiedź, za którą postanowili obecni dwaj najlepsi gracze ukarać młodego człowieka. Ale trafiło się inaczej. Młody człowiek pobił obu z kretesem. Od tego pierwszego debiutu, stał się Steinitz bardzo pożądanym partnerem, a nie jeden z przyjemnością dawał się jemu pobijać.

Między partnerami Steinitza znajdował się stale bankier Epstein, bogaty i powszechnie znany. Steinitz dawał mu zawsze konika na awantaż. Raz zdarzyło się, że Steinitz za długo myślał nad jakimś ciągiem. Epsteinowi sprzykrzyło się czekać, więc niecierpliwość swą wyraził przeciągłem, nie bardzo pięknie brzmiącem: „Ny!“ Steinitz nic nie odpowiedział, zrobił swój ciąg. Wkrótce przyszła na Epsteina kolej dłuższego namysłu. Steinitz czekał bardzo długo, ale ostatecznie zrewanżował się sarkastycznem „Ny!“. To mu wziął bankier za złe.

— Wiesz pan kto ja jestem? — zawołał?

— Jesteś pan Epsteinem na giełdzie — odrzekł Steinitz - ale tutaj ja jestem Epsteinem.

Innym razem przypatrywał się Steinitz w pewnej kawiarni partji, uprosiwszy sobie poprzednio pozwolenie graczy. Nie mówiąc ani słowa, patrzał na grających. Partja rozgrywała się zupełnie prawidłowo. W końcu jeden powiedział mat! Przegrywający spojrzał zniecierpliwiony na Steinitza, a odchodząc rzekł: Nigdy już grać nie będę, jeżeli ten będzie siedział przy stole. On widocznie nic gry nie rozumie, ale jest nieznośnym gadułą.

O nawyczkach Steinitza przy grze wiadomo, że zawsze pierwsze dwa rzędy szachownicy ze swojej strony zakrywa rękami, tak, że przeciwnik nie widzi, czy tam stoją figury gdzie stać powinne, czy też nie. Bujne kędziory jego włosów zasłaniają nad to połowę pola bitwy, tak, że widzowie z wielką trudnością mogą śledzić gry mistrza. Kiedy partja ma się ku końcowi, Steinitz zaczyna półgłosem nucić marsza żałobnego, obwieszczając w ten sposób los swej ofiary i odbierając jej do reszty animusz.

Centralna komisja statystyczna ugrupowała posłów rady państwa według ich stanowiska społecznego. Właściciele ziemi i gospodarze są najsilniej reprezentowani, mają bowiem 149 posłów. (Wielka własność wybrała 66 posłów, izby handlowe 3, miasta 16, a okręgi wiejskie 64 posłów, będących właścicielami dóbr). — Zawód adwokacki i notarjalny ma reprezentantów 51, stan urzędniczy ma 40, stan profesorski 27, stan duchowny 24, stan przemysłowy 23, stan kupiecki 10, stan lekarski 10, nadto jest 7 kapitalistów, 5 techników, 5 literatów i 2 rękodzielników. — Właściciele dóbr mają tedy reprezentację, wynoszącą 42·2 procent wszystkich głosów.

Owóż jakkolwiek z tego sądząc, wypadałoby wnosić, że rolnictwo jest w izbie najsilniej reprezentowane, to jednak w stosunku do ludności ma się rzecz inaczej. Albowiem okazuje się, że jeden adwokat, będący posłem, wypada na 71 adwokatów i notarjuszów, jeden redaktor na 235 redaktorów i literatów, jeden poseł technik na 727 techników, jeden kapitalista na 16.428 kapitalistów, a wreszcie jeden poseł fabrykant na 19.936 fabrykantów i przemysłowców; gdy tymczasem jeden poseł rolnik na 100.000 rolników. Zatem najwięcej reprezentantów mają adwokaci, a najmniej rolnicy.

Nowy utwor sympatycznego komedjopisarza, p. Adolfa Abrahamowicza, przeszedł wczoraj szczęśliwie przez ogień premiery, a sądząc z przyjęcia jakiego doznała komedja p. t. „Oddajcie mi żonę!“ od bardzo licznie zgromadzonej publiczności, musimy powinszować autorowi sukcesu, zdobytego co prawda, *par force* środkami i efektami, które nie zawsze mogłyby się ostać przed surowem obliczem wyrocźni krytycznej. Już ma to talent p. Abrahamowicza do siebie, że tak zręcznie manipuluje z usposobieniem najpoważniejszych widzów, iż prędzej czy później rozbawić ich musi. Na jednych podziała gładkim, prawdziwie subtelnym francuskim dowcipem, innych znowu umie pobudzić do uśmiechu konceptem mniej wyszukanym, ale mającym zawsze energię szarży, trzecich wreszcie zajmie uwagę tem, iż nierzadko spostrzegają podchwycony z talentem jakiś rys śmieszności i ułomności ludzkiej. Kilka, kilkanaście początkowych scen każdej jego sztuki wyposażone są zwykle takiemi różnobarwnemi efektami, które zrazu robią wrażenie pewnego chaosu, jakby autor nie wiedział, od czego zacząć, gdy w istocie są to bardzo dobrze nakręcone sprężyny, mające nastroić zajęcie widza. Potem autor dopiero, przygotowawszy w ten sposób mniej więcej jednolite usposobienie w sali, rozwija właściwy pomysł rzeczy scenicznej, częstokroć nader udatny, świeży — a powiedziawszy sobie: „śmiech bądź co bądź!“ piętrzy sytuacje, rzuca efekta, słówka, półsłówka z zręcznością saltymbanka, wiedząc, że każdy efekt padnie w jakąś duszę, która mu odpowie echem serdecznego śmiechu. Przy takiej manipulacji nie może być mowy o pewnej jednolitości obrazu, o ścisłej konsekwencji w przeprowadzeniu rzeczy scenicznej, o czystych poprawnych liniach utworu, któreby zrobiły na widzu wrażenie estetycznej skończoności — tego zdaje się dowodzić nie potrzeba. Ale co jest natomiast? Scena za sceną komiczna, wywołuje odgłos szczerej wesołości w amfiteatrze; niekiedy zręczne podkreślenie jakiegoś mniej właściwego rysu przez grającego aktora wesołości tej nieda upaść, znowu następuje udatny dowcip, i tak panuje w sali atmosfera najlepszego usposobienia, śmiech i ostatecznie wybucha najpierwsza krytyka na miejscu w formie grzmiących oklasków dla szczęśliwego autora.

Wszystkie te powyżej wspomniane cechy ma komedja „Oddajcie mi żonę“. Właściwie sztuka ta nie jest ani komedją, ani farsą — lecz zajmuje między niemi miejsce pośrednie. Pomysł, a raczej tło pomysłu sięgałoby w dziedzinę wyższej komedji. Profesorowi Puciatkiewiczowi nie chcą oddać jego żony, ponieważ baronowa Aurelia, z dumy swej rodowej, sprzeciwia się małżeństwu swej wnuczki Heleny z jakimś tam profesorem. Natomiast przeprowadzenie i rozwiązanie sztuki już wchodzi więcej na grunt farsy. Bonifacy Wykulski, zięć baronowej a ojciec Heleny, dowiedziawszy się, że profesor ma stryja, który dla syna przyszłego małżeństwa zapisze cały swój a znaczny majątek, po długiem a nader komicznem rozmyślaniu przy pomocy nacierania głowy wodą kolońską wpada na świetną myśl, połączenia kochających się młodych ludzi ślubem tak, żeby babka baronowa o tem nie wiedziała. Wymyśla więc fałszywy telegram o chorobie nieistniejącej ciotki — środek użyty już w farsach francuskich — i całe towarzystwo, wyjeżdża z miejsca kąpielowego, gdzie bawiło, na wieś, pozostawiając babkę z jej ulubionym kotem i jakimś podejrzanym konsulem stambulskim. Ślub się odbywa uroczyście w kaplicy domowej (akt drugi) gdy w tem wpada babka i sytuacja staje się nader kłopotliwą. Męża chowają przed babką. Z końcem aktu drugiego młody uczony, trochę nieporadny, zaczyna upominać się o swoją żonę i aż dopiero po siedemnastu dniach, kiedy obie strony wytrzymać już nie mogą, wyjawia zrozpaczony Wykulski wszystko przed babką.

Pokazuje się wreszcie, że babki obawiano się niepotrzebnie; ona nie miała ani centa, jak się pierwotnie spodziewano, na wyposażenie Heleny, więc teraz daje ją profesorowi bez najmniejszego oporu. Jeżeli główne przeprowadzenie rzeczy zakrawa na farsę, to już poszczególne epizody, sceny, robione są z prawdziwym *esprit de la farce*, autorowi właściwym. Każda z figur, pochwycona wprawdzie z życia, posunięta jest w rysunku aż do tej skrajności, gdzie się kończy portret, a zaczyna karykatura. Wszakże, z drugiej strony, gdy autorowi widocznie chodzi o wyzyskanie każdej słabostki ludzkiej aż do ostatniej nitki, gdy pod tym względem nie przebiera w środkach — ten rodzaj rysunku, sam w sobie, jako nader charakterystyczny, wolimy uważać raczej za dodatnią stronę talentu autora, za specjalną właściwość jego twórczej organizacji, aniżeli brać mu za złe, że często w tym rodzaju utworów jakim są farsy dochodzi do ostatnich granic możliwości.

Ruchu, życia na scenie wiele, bardzo wiele w tej ostatniej sztuce p. Abrahamowicza, nawet dałoby się bez szkody usunąć kilka figur mniej potrzebnych, jak np. żonę aptekarza; konceptów także, jak już wyżej powiedzieliśmy jest sporo i bardzo wesołych, ale tu znowu możnaby zarzucić pewne przeładowanie, a bardzo byłoby do życzenia, ażeby niektóre zbyt trywialne, działające już specjalnie na paradys mogły być usunięte. Wyborne w swoim rodzaju są postacie Wykulskiego (p. Frenkiel), Stanisława (Walewski), kompletnego *roué*, aptekarza nazwiskiem Zamieszaj (Piasecki), marszałka Radudyńskiego (Narkiewicz), nareszcie samego bohatera sztuki Puciatkiewicza (Lubicz) i jego stryja Marcelego (Zboiński). Również dobre są postacie kobiece: baronowej Aurelji (p. Aszpergerowa) i jej córki Felicji (p. Cichocka); — bohaterka Helena (Stachowicz) trochę ma nie wyraźny rysunek, ale ona jedna najpoważniejsza w zgromadzeniu najśmieszniejszych, tak bladą, niewyraźną wydać się musi.

Artyści wszyscy grali wybornie. Szczególniej odznaczył się p. Frenkiel dając pysznie pojęty typ, przypominający trochę wielkiego człowieka do małych interesów. — Benefisantowi, który rolę profesora oddał z miarą i starannie jak zwykle, publiczność ofiarowała dwa wieńce. Była też i owacja dla autora. Wręczono mu po pierwszym akcie srebrne pióro na wezgłowiu i wieńce.

R. P.

O stosunku Juljusza Sandeau do pani Sand podaje *Voltaire* następujące ciekawe szczegóły: „Po zerwaniu z przyszłą znakomitością, przedsięwziął Sandeau podróż do Włoch, dla rozerwania się i... zapomnienia. Atoli już w Turynie, dręczony tęsknotą i powracającą miłości falą, pisze gorący i pełen smutku list „do niej“ i wrzuca go do skrzynki pocztowej. Niebawem jednak żałować zaczyna tego kroku — życie dałby za wycofanie listu, ale urzędnicy pocztowi ani chcą słyszeć o tem. Sandeau zwraca się do samego Cavoura i opowiada mu cały epizod z oddanym na pocztę nierozważnym listem.... Cavour wzruszony opowieścią przyrzeka kochankowi list zwrócić pod warunkiem, iż mu powie początek jego i ostatnie słowa. Sandeau zgadza się i pisze na leżącej przed nim kartce papieru: „Pierwsze słowa listu są: kocham cię“. — „A ostatnie?“ — zapytuje Cavour. Nieco zmieszany dopisuje Sandeau: „Brzmią tak jak pierwsze: kocham cię...“ Przed zerwaniem mieszkali autor „Marjanny“ i George Sand razem w domu przy ulicy Guénégaud. Przychodziło nieraz do gwałtownych scen zazdrości. Po jednej z nich Sandeau wypadł na ulicę, wołając, iż życie sobie odbierze, iż rzuci się do Sekwany. George Sand, zaniepokojona do najwyższego stopnia, zarzuca szal na ramiona, zbiega ze schodów i podąża nad brzeg rzeki. Po godzinnem nadaremnem szukaniu znajduje nareszcie Sandeau, ale nie, jak się obawiała, wyciągniętego jako trupa z wody, ale spokojnie zajadającego beefsteak w pobliskiej restauracji. — „To za tem jest sposób, w jaki pan sobie życie odbierasz!“ — były jej pierwsze słowa i od tego czasu wszystko było między nimi skończone... Znane jest wyrażenie Juljusza Sandeau o pani Sand: „Serce tej kobiety jest wielką wspólną mogiłą, gdzie już nawet krzyże nie noszą żadnych napisów...“

Marszałek Serrano. Dzienniki zagraniczne podają jeszcze anegdotki z życia zmarłego w grudniu sędziwego męża stanu Hiszpanji.

Czarnobrewe córy ojczyzny Cervantesa darzyły odważnego jak lew marszałka Serrano osobliwszemi łaskami, mimo to był on najlepszym mężem dla najpiękniejszej co prawda kobiety Ameryki hiszpańskiej. Żona marszałka obok niepospolitej urody posiadała rzadki umysł i niepospolitą inteligencję; stała się ona doradczą, współpracownikiem politycznym męża, i powszechne panuje przekonanie, że Serrano bez niej nie byłby osiągnął połowy powodzenia i popularności swojej. — Pożycie ich domowe należało do najszczęśliwszych. Serrano był dla dzieci swoich najlepszym ojcem. Jedna z córek jego zaślubiła hr. Santovenia, druga ks. Koczubey; syn zaś, który odziedziczył po ojcu tytuł hr. San Antonio, wywołał przed kilku laty wielkie oburzenie w świecie dystyngowanym przez swą skandaliczną sprawę rozwodową.

Marszałek Serrano lubił namiętnie teatr, to też w pałacu swoim urządzał często przedstawienia amatorskie.

Odwaga marszałka stała się niemal przysłowiową w całym kraju. Pewnego razu (przed kilku laty) jechał marszałek nocnym pociągiem z Madrytu do Kordowy. W drodze banda rozbójników napadła na pociąg i wstrzymała go; marszałek wyskoczył z wagonu, rzucił się w środek bandy walczącej ze służbą pociągową, położył trupem jednego bandytę, ranił dwóch innych, komendą zagrzewał do boju żandarmów i podróżnych, tak że udało się wreszcie pokonać bandytów. — Gdy marszałek zapytany o nazwisko przez oficera eskorty dodanej pociągowi do obrony przedstawił się, rozentuzjazmowani żołnierze i podróżni, odkrywszy głowy, krzyknęli z zapałem: „Niech żyje marszałek!“

Nakoniec zaznaczymy, że Serrano w zupełności oceniał znaczenie i wpływ prasy; wystrzegał się bardzo stawania w kolizji z którymkolwiek jej przedstawicielem, i zwykł był mówić: „W ciągu długiej karjery mojej doświadczenie nauczyło mnie, iż należy zawsze jedną świecę nieść w ofierze dla Kościoła, a drugą dla *Notre Dame de la Presse.*“

Śniadanie u Offenbacha. Pan Howard Paul podaje do jednego z dzienników Nowego Yorku kilka wspomnień o Jakóbie Offenbachu: W czasie lata, Offenbach zamieszkiwał zwykle pawilon Henryka IV w Saint-Germain i lubił przyjmować przyjaciół, wydając im śniadania, które tak z *menu* jak i z gatunków win, mogły się zaliczać do najlepszych bankietów tego rodzaju. — „Moi goście, zwykł był mawiać maestro, przyjeżdżają z Paryża; podróż zaostrza apetyt, a świeże powietrze czyni ich smakoszami. Trzeba ich dobrze karmić“. — Na jednem z takich śniadań, na którym znajdował się p. Howard Paul, który poznał Offenbacha w Nowym Yorku wspomniano o pobycie maestra w Stanach Zjednoczonych. Offenbach zachował najmilsze wspomnienie z gościnności, jakiej tam doznawał. — „Gdybym był, mówił, jadł i pił wszystko co mi tam podawano, nie byłbym wrócił żywy do Europy. Amerykanie przekarmiają swoich gości, zupełnie tak, jak dobra gospodyni tuczy indyki. Moja sława urosła od czasu podróży do Ameryki, ale też od tej pory stałem się smakoszem“. — Offenbach opowiadał przytem, że amerykańskie damy srodze krytykowały jego powierzchowność; oburzały się one długością jego nosa, rzadkiemi włosami i zapadłemi policzkami, nie żenując się wcale w wypowiedzeniu swoich spostrzeżeń. — „I ten człowiek z nosem krogulca, wołała jedna z tych pań, to Offenbach! Ale napisał „Piękną Helenę“, więc mu przebaczam“. — Ta sama dama była później jedną z najgorliwszych wielbicielek maestra. Wydała raz na jego cześć ucztę, która trwała od dwunastej w nocy do siódmej rano, spisy potraw były ilustrowane scenami rozmaitych jego oper, wykonanych akwarellą przez jednę z artystycznych znakomitości Nowego Yorku. „Mozart Pól Elizejskich“, jak Offenbacha nazywał Rossini, bardzo był ujęty gościnnością tej damy i często o niej wspominał. Lubił także przypominać sobie koncerta niedzielne w Nowym Yorku. W kilka dni po jego do tego miasta przybyciu, zobaczył afisz oznajmiający o mającym się odbyć w niedzielę religijnym koncercie. Cóż było za zdziwienie maestra, gdy przeczytał, że koncert zacznie się uwertura z *Wielkiej Księżnej*, a skończy się galopem piekielnym z *Or-*

feusza! — „Mój Boże! mówił z uśmiechem, widać, że Amerykanie mają jeszcze bardzo niejasne pojęcie o muzyce religijnej. W całym programie nie było ani jednego ustępu religijnej treści; ale wyobraźcie sobie moje zadziwienie, gdy dyrektor oświadczył, że koncert odbywa się pod moim patronatem!“ — Po śniadaniu p. Howard Paul musiał wracać z jednym z przyjaciół do Paryża i lekko wskoczył do czekającego nań powozu. — „Co byś pan dał maestro, rzekł do stojącego na peronie Offenbacha, opartego na dwóch laskach, cobyś pan dał, żebyś mógł tak lekko jak ja wskoczyć do powozu?“ — „Ach! mój Boże, pewnie dałbym za to dwie moje najlepsze opery“.

Czyszczenie srebra stołowego. Sposobów jest mnóstwo. Na pierwszem miejscu stawiamy najprostszy, w wielkiej części wypadków zupełnie wystarczający. Obmyć noże i widelce w gorącej wodzie i wytrzeć nasucho. Trzeć je następnie kredą, rozrobioną w prostej wódce. Wycierać zaraz, nie dozwalając kredzie zaschnąć na srebrze. Miejsca niedostępne dla gałganka oporować szczoteczką.

Sposób ten jednak nie wystarcza, jeżeli srebro pozostawało długo w zapomnieniu, w miejscu wilgotnem, w zetknięciu z ciałami śniedziejącemi. Wobec powstałego stąd poczernienia zalecamy użycie w następujący sposób przyrządzonego proszku: wziąć po równej ilości na wagę: ałunu, soli szczawikowej (dwuszczawianu potażu) i winianu potażu. Wszystkie te trzy substancje drobno sproszkować i zmieszać. Zwilżyć część proszku wodą i wziąć do użytku. Po dokładnem natarciu wytrzeć nasucho skórką jelonkową. Jeżeli poczernienie kruszcu nastąpiło w skutek przypadkowego zetknięcia ze zjadliwemi kwasami, w takim razie należy przystąpić coprędzej do zmycia uszkodzonych przedmiotów w wodnym roztworze węglanu sody, wziętym w stosunku mniejwięcej cztérech do pięciu części soli na sto części wody. Po zmyciu wytrzeć starannie do suchości.

Myślącą maszynę wynalazł pewien — rozumie się Amerykanin — z pochodzenia Francuz, zamieszkały w Gallipolis, w stanie Ohio. — Jestto waga tak urządzona, że nietylko waży, lecz jednocześnie oblicza wartość towaru w dolarach, centach i ułamkach centa. Trzeba tylko ciężar położyć na szali i ustawić wskazówkę na cyfrze wskazującej cenę funta, a przyrząd sam wskazuje, ile po oznaczonej cenie za cały ważony towar zapłacić należy.— Podzieliwszy wartość przez cenę, otrzymuje się najdokładniejszą wagę towaru w funtach.

W opisie zdaje się to czemś bardzo dziwnem, ale w praktyce nie potrzeba wielkiego gienjuszu, żeby coś podobnego wymyślić. Zwykła waga sprężynowa z odpowiednio urządzonemi przedziałkami mogłaby tak samo być przyrządem „myślącym“ jak ta maszyna amerykańska.

Rewolty w francuskich zakładach karnych są na porządku dziennym; zdaje się nawet jakoby zachodziła między niemi łączność. W Riom (depart. Puy de Dome) musiano przystąpić do użycia siły zbrojnej w celu stłumienia rokoszu; przywódców rewolty, również jak kilku dozorców więzień przeniesiono do innych zakładów. W zakładzie karnym w Rochefort zaprowadzono ład i spokój pomiędzy więźniami także przy użyciu siły wojskowej.

Rokosz na wielkie rozmiary wybuchł w więzieniu w Thouars (depart. Deux Sevres). Zrewoltowało się tam 900 więźniów w ubiegłą sobotę przy śniadaniu. Wiele indywiduów nie chciało jeść zupy i rzucali misami dozorcom w głowy. Udało się jednak sprowadzić więźniów do warsztatów. Poranek przeszedł spokojnie, po południu jednak więźniowie wzbronili się wyjść na przechadzkę po dziedzińcu więziennym. Na wezwanie dyrektora, ażeby przedłożyli powody, oświadczyli, że chleb jest nie do jedzenia. Prawdziwym powodem atoli jest, że na prywatne swoje potrzeby albo zgoła nic, albo bardzo mało zarabiają. Wyznaczono komisję do zbadania mąki. Następny dzień przeszedł spokojnie, aż dopiero wieczorem wybuchły nieporządki na nowo. O godzinie 7. zrana rzuciło 300 więźniów chleb na podwórze, a kiedy przybiegł dyrektor i chciał ich uspokoić, zawołano: Do wody z nim! W podwórzu jest basen. Sytuacja stała się krytyczną. Kilku z odważniejszych dozorców uwolniło dyrektora. Więźniowie zamiast na nich rzucili się na współwięźnia, który ujął się za dyrektorem, i wrzucili go do basenu. Życiu jego dziś jeszcze zagraża niebezpieczeństwo. Straż więzienna wystąpiła w szeregu, ale przyjęto ją gwizdaniem i Marsyljanką. Przez cały dzień więźniowie nie dostali pożywienia. To ich uspokoiło znacznie, a gdy wkrótce przybył oddział wojska z 250 ludzi i pikieta żandarmska nastąpił spokój zupełny. Więzienie w Thouars jest przepełnione; 300 więźniów jest bez zatrudnienia, kary są niemożliwe, gdyż jest tam tylko 14 cel osobnych, ciągle zajętych.

Wystawa powszechna odbyć się ma w r. 1887 w San Francisco (Kalifornia). Koszta wystawy obliczone zostały do dwóch milionów dolarów, a czas jej trwania nie ma przenosić sześciu miesięcy. Komitet złożony ze znaczniejszych obywateli miejscowych, postanowił zażądać od kongresu subsydjum na urządzenie wystawy.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 25. lutego.

(Z) Jutrzejsze *ultimo* i obawa, że przy zamknięciu miesięcznych rachunków może się okazać brak gotówki; jakoteż i ta okoliczność, że po kilku dniach haussy musi zwykle nastąpić baissa, ponieważ wielu spekulantów pragnie zrealizować korzyści odniesione z haussy i papiery sprzedaje, ażeby je znowu nabyć, gdy się obniżą w cenie; więc oba te czynniki wywołały dziś baissę, niewielką wprawdzie, ale za to panującą na wszystkich polach. Tak samo renty, jak akcje bankowe i kolejowe spadły w cenie.

Na targu zbożowym panowała za to haussa. Wywołał ją brak towaru gotowego. Zdaje się przytem, że i zapasy są mniejsze. — Pszenica w skutek tego podskoczyła w terminach o 10 ct., mianowicie do 8 zł. 60 ct.

Telegramy „Przeglądu“

Wiedeń 27 lutego. Nie ma wcale mowy o ustąpieniu ministra Pino. Wszelkie kombinacje są zupełnie bezpodstawne. Ani hr. Taaffe, ani cesarz nie mają zamiaru przedsiębrać zmian w gabinecie, gdyż nie ma do tego żadnego powodu. Napaści opozycji wywołały w sferach decydujących tylko oburzenie.

Wiedeń 27 lutego. Do *Pol. Corr.* donoszą z Bukaresztu: Po południu odbyło się posiedzenie konferencji pokojowej, na którem przyjęto po długiej debacie kilka protokołów nie zweryfikowanych dotąd z powodu różnicy zapatrywań co do ich stylizacji. Mijatowicz okazał się wielce ustępczym dla odnośnych życzeń turecko-bułgarskich.

Do tegoż dziennika donoszą z Belgradu: Garaszanin oświadczył tureckiemu posłowi, iż Serbja nie może przyjąć propozycji uczynionej przez Turcją, ponieważ właśnie z serbskiej strony postawiono teraz wniosek, który odpowiada życzeniu mocarstw, iżby pokój rychło zawarto. Następnie Garaszanin oświadczył, iż wobec uczynionej mocarstwom propozycji, nie może Serbja ze względu na mocarstwa przyjąć zmiany dopóty, dopóki mocarstwa w tej mierze nie wypowiedzą swego zdania. Poseł francuski skonstatował, iż doręczono mu cyrkularz Garaszanina i oświadczył, że Francja nie podnosi żadnego zarzutu przeciw propozycji serbskiej.

Ateny 27. lutego. Doniesienie Agencji Havasa. Rząd grecki będzie unikał starannie wszystkich zarządzeń, które mogłyby się wydawać prowokacją mocarstw, ale zachowa wyczekującą postawę. Nie mając zamiaru obrażać mocarstw doradzających mu pokojowe zachowanie się, rząd grecki nie będzie baczył na to, iż w zatoce sudajskiej przebywają floty, czekające prawdopodobnie na ostateczne instrukcje, zanim wpłyną na wody greckie.

Belgrad 27. lutego. W odpowiedź na reklamację tureckiego posła zwrócono jego uwagę na notę Garaszanina, która zawiera w sobie także odpowiedź dla Porty.

Powstrzymano kreowanie nowego trenu dla wojsk serbskich.

Berlin 27. lutego. Posiedzenie Izby posłów. Przedłożenia o obronie żywiołu niemieckiego w prowincjach wschodnich, o posadach lekarzy dla szczepienia ospy i o utworzeniu wieczornych szkół uzupełniających odesłano także do komisji.

Parlament w trzeciem czytaniu przyjął ustawę o gwarancji odsetków pożyczki egipskiej.

Petersburg 27. lutego. Sekretarz ministerjum spraw zagranicznych Baggovout odjechał przedwczoraj do Rzymu z specjalną misją do Ojca św.

Birmingham 27. lutego. W Smethwirk nieopodal od Birminghamu wstrzymało roboty 3.000 robotników zatrudnionych w fabryce śrub Nettlefolda, a to dlatego, ponieważ zredukowano im zapłatę o 10%. Zarzucili oni kamieniami pomieszkanie dyrektora fabryki i wybili szyby.

Wkrótce przyłączyli się do nich także robotnicy z innych fabryk śrub i cały 4-tysięczny tłum strejkujących wyruszył w kierunku Birminghamu. Tam wzmocniono natychmiast oddziały policji, aby zapobiedz ewentualnym zaburzeniom.

Paryż 87. lutego. Jenerał Courcy wylądował w Marsylji.

Decazeville 27. lutego. W Paleyret wybuchł strejk, ale go zlokalizowano. Do kilku warsztatów robotnicy już powrócili. Strejkujący żądają, aby usunięto inżyniera Blazy'ego.

Londyn 27 lutego. Posiedzenie Izby gmin. Po kilkugodzinnej debacie odrzucono wniosek Stuarta tej treści, iżby reforma londyńskiej policji zawierała zarazem reformę miejskiego zarządu i aby reprezentantom londyńskich podatkowców była zapewniona bezpośrednia kontrola policji. Przeciw temu wnioskowi rząd wystąpił.

Belgrad 27 lutego. Sfery rządowe oświadczają: Serbja pragnęła zawrzeć traktat pokoju i przyjaźni, załatwić spory graniczne, zawrzeć traktat handlowy z Bułgarją. Skoro te lojalne zamiary napotkały na przeszkody, więc Serbja ustąpiła, nie ma mowy o traktacie przyjaźni, przywraca się stan pokojowy, *ale wszelkie sprawy polityczne i sąsiedzkie pozostają nierozstrzygnięte w zawieszeniu.* Na Serbją za to odpowiedzialność nie spada. Jeżeli będzie zażądaną klauzula o rozbrojeniu, Serbja ma teraz nie ma powodu przeciw niej występować. Jest to zresztą formalność tylko.

Petersburg 27 lutego. (>) Rosja weźmie udział w przyszłej powszechnej wystawie paryskiej na tych samych warunkach co Austrja i Niemcy. Nie ma więc powodu do zmiany ambasadora. Utrzymują jako rzecz pewną, że jen. Apper zostanie nadal ambasadorem francuskim. Podobno zostanie także hiszpański ambasador Campo-Sagrado, lubo o odwołaniu jego doniósł oficjalny dziennik madrycki.

W pierwszych dniach marca przyjdzie pod obrady rady państwowej projekt zniesienia wieczystych dzierżaw na Litwie, Wołyniu i Ukrainie.

W Azji Średkowej powstało przeciw Rosjanom plemie Majmene. Na powstańców z wojskiem posłano pułkownika Alikanowa.

Filipopol 27 lutego. W całej Rumelji odbyły się już wybory posłów po dwóch z każdego powiatu do sobrania zjednoczonej Bułgarji.

Wybrani wszyscy główni działacze ostatniej rewolucji, lecz także i kilku opozycjonistów, oddanych Rosji, nieprzyjaciół księcia.

Paryż 27 lutego. Do Ajencji Havasa donoszą z Rzymu: Włochy zaproponowały formalnie przyjęcie turecko-bułgarskiego porozumienia z zastrzeżeniem, iż stanowcza sankcja tego porozumienia nastąpi po zebraniu się konferencji. Utrzymują, że Włochy powzięły inicjatywę w tej mierze w porozumieniu z Niemcami.

Londyn 27 lutego. Izba niższa przyjęła w pierwszem czytaniu bil normujący i regulujący stosunki dzierżawne drobnych rolników w Szkocji.

Londyn 27 lutego. Dzienniki tutejsze donoszą, że trybunał, któremu przysłuża interwencja w procesach o rozwiązanie małżeństwa w razie, jeśli przypuszczalną jest nielegalność orzeczenia sądowego, postanowił proces Crawforda o rozwiązanie małżeństwa przed swoje forum powołać.

Londyn 27 lutego. Codziennie odbywają się mityngi robotników bez zajęcia. Kierunek umysłów zwraca się coraz gwałtowniej przeciw obcym robotnikom, zwłaszcza Niemcom, których napływ psuje ceny i odbiera chleb miejscowym. Ruch ten podsycony został przez artykuł *Daily Telegraphu* wykazujący liczbę obcych robotników. Składkowy fundusz na wspieranie nie mających zajęcia wynosi już 58.000 f. szt.

Londyn 27 lutego. Arcybiskup Dublinu oświadczył w piśmie wystosowanym do Gladstone'a w imieniu całego episkopatu irlandzkiego: „prawowite żądania irlandzkiego ludu może zadowolnić tylko zupełny samorząd, co do sprawy rolniczej nie ma innego wyjścia, tylko wykupno przez rząd własności landlordów i wydzierżawienie ziemi farmerom. Jeżeli się to stanie, wtedy przestępstwa ustaną i powróci bez nadzwyczajnych środków pokój społeczny“.

Przyjechali do Lwowa

dnia 27. Lutego 1886.

Hotel Żorża: W. hr. Walewski z Wołynia, J. Jabłonowski z Zagwoździa, K. Winnicki z Turady, M. Rudnicki z Ukrainy, H. Polko z Żółkwi.

Hotel Langa: A. Lollberger z Lyonu, J. Uleniecki z Wołodkowa.

Hotel Europejski: O. Horodyński z Rohatyna, Bordolo z Żółkwi, Wachter z Tarnopola, hr. Romer z Rohatyna, Beneszko z Żółkwi, L. Wasserberer z Wiednia. F. Blum z Wiednia, J. Reinach z Wiednia, J. Beckert z Wiednia.

Hotel Francuski: H. hr. Starzyński z Łowczyc, W. Kownacki z Jaworowa, K. Moschitz z Tarnopola, W. Begg z Tarnopola, J. Odyniec z Niznioва, J. Stonawski z Bilki królewskiej.

Hotel Angielski: M. Manasterski z Stryja, K. Wysocki z Ostoburza, W. Krzyżanowski z Liska, K. Marmorosz z Kozowa, K. Bielski z Smolnicy, E. Romer z Nowego Targu.

Hotel Warszawski: J. Brzozowski z Zbaraża, M. Morawski z Śniatynia, W. Jaruntowski z Załanowa, P. Lewicki z Horodenki.

Z targów zbożowych.

27 lutego	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7 —— 8 4	7.——8.25	7. 8.3	7.——8.65
Żyto	5.——5.80	5.——5.35	5.——5 30	5.——5.75
Jęczmień	5.——7.—	5.80 – 6.—	5.——6.25	6 —— 7.—
Owies	5.75—6.75	5.10—5.80	5.25—6.2	5.50—6.35
Groch	6.— 9.50	——9.–	6.— 10.—	6 —10.—
Wyka	5 25—7 –	5.30—5.80	.— —.—	5.50—6.50
Rzepak	9 — 10.–	9.— 9 80	9.—10·—	9.— 10.40
Lnianka	8.50 9.50	8 50 9.50	—.— .—	.—— .—
Konic. czer.	40—51	40.—49.—	35.—49.—	40 — 51
Konic. biała.	40—65.	–.———	—.——.	–.——.—
Konic. szwed.	42—75—		———	—.—.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 5. 10 nominalnie.

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 27. Lutego 1886.
godzina 10 minut 35 przed południem.

Akcje kredyt.	206.90	Pozyc. kraj. 4½%	
Kolej Kar. Lud.	205.50	z r. 1883.	90.75
Unionsbank	75.50	Napoleondor	10 02—
Rosyjs. bankn	1·24½	Węg. obl.p. zł.	—.—
Banku kraj. 4½%	93.50		

Usposobienie: spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej, 27. Lutego 1886.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	205	50	206	50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	233	75	237	—
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	281	—	285	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	217	—	222	—

2. Listy zastawne za 100 złr.

Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	101	—	102	—
„ „ „ 4 „ „	92	75	94	—
„ „ „ 5 „ okres.	101	—	102	—
„ „ „ 4 „ „	90	75	91	75
Banku krajowego 4½% w. a.	93	25	94	25
„ hyp. galic. 6 „ „	102	25	103	25
„ „ „ 5 „ „	98	40	99	40
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	100	40	101	40

3. Listy dłużne za 100 złr.

G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	—	—	54	—
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	—	—	51	—

4. Obligi za 100 złr.

Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	—	105	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	98	25	99	25
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102	75	104	—
„ „ „ 1883 4½% „	92	25	93	25

5. Losy.

Losy miasta Krakowa	17	—	19	—
„ „ Stanisławowa	24	—	26	—

6. Monety.

Dukat holenderski	5·84	5·94
Dukat cesarski	5·88	5 98
Półimperjał rosyjski	10·32	10·42
Rubel rosyjski srebrny	1·54	1·64
„ „ papierowy	1 23½	1·25½
100 marek niemieckich	61.25	62.15

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

(Podług zegaru lwowskiego).

Od 1 listopada b. r.

Do Krakowa	*10.46	4. 5	8.—	4.50	—.—
Do Podwołoczysk	10.27	*5.56	—.—	12.35	—.—
„ (z Podzamcza)	10.56	—.—	*6.07	1.09	—.—
Do Czerniowiec	—.—	11.06	*6.20	12.20	—.—
Do Stryja	7.30	—.—	7.30	11.45	—.—

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa	9.27	*5.36	11.33	7.50	—.—
Z Podwołoczysk	*10.26	3.05	—.—	3.50	—.—
(na Podzamcze)	*10.12	2.28	—.—	3.20	—.—
Z Czerniowiec	*10.05	3.35	—.—	3.30	—.—
Ze Stryja	1.25	—.—	8.25	4.35	—.—

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne. W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.